

Dobry Ogrodnik - ideał ochrony przyrody w Europie?

Opiniotwórcze Royal Society w Londynie i kilka stowarzyszeń naukowych w Europie od około roku dyskutują o potrzebie zmiany strategii ochrony przyrody. Jednym z założeń jest stwierdzenie, że przyroda w Europie i tak jest silnie zmieniona, więc należy traktować ją jak ogrodnik swoją działkę. Drugie założenie to obserwacja, że zmieniający się klimat nie pozwala na powrót do historycznych czy „oryginalnych” wartości, więc ochrona przyrody musi dostosować się do nowych warunków – bo nie ma powrotu do przeszłości.

Koncepcja zarządzania przyrodą jak ogrodem jest od dawna znana leśnikom. W końcu użytkowe lasy Europy to po prostu plantacje drzew. Zamiast walczyć z inwazyjnymi gatunkami chrząszczy, niszczącymi lasy Kalifornii, leśnicy zaczynają wprowadzać odmiany drzew odporne na szkodniki i uzupełniać las o gatunki krzewów i drobnych roślin, które będą bardziej intensywnie pobierać CO₂ z atmosfery i zatrzymywać więcej biogenów, przyczyniając się do oczyszczenia wody i powietrza.



Yellowstone – najstarszy Park Narodowy na świecie. Dzięki swojej wielkości (około 100 km na 100 km) nie odczuwa się presji sieci dróg i kilkunastu kempingów, mimo kilku milionów odwiedzających rocznie. System kontrolowany, z próbami restytucji oryginalnego składu fauny (reintrodukcja wilków w 1995 r.) i zwalczaniem imigrantów. Model praktycznie nieosiągalny w Europie, stosowany ze zmiennym powodzeniem z Afryce. Fot. Anna Krzeszowska

W USA, odzyskane obszary po kopalniach odkrywkowych, które zgodnie z prawem powinny być doprowadzone do stanu przed eksploatacją, obsiewa się mieszanką lokalnych roślin, dobranych do obecnych warunków wilgotności i nasłonecznienia. Zapewnia to trwały wzrost i utrzymanie pokrywy roślinnej, podobnej do naturalnej. A zarazem jest tańsze i bardziej skuteczne niż wieloletnia walka o odtworzenie ekosystemu, którego nie da się przywrócić – bo zmieniły się warunki w całym obszarze.

Problem z wyborem racjonalnych metod pogłębia nacisk administracji wielu krajów i organizacji międzynarodowych na wprowadzanie norm i praktyk sprawnego zarządzania ochroną przyrody. Miałyby się to odbywać przez wprowadzanie do prawodawstwa słabo zdefiniowanych terminów, takich jak „integralność przyrodnicza”, „zdrowie ekosystemu”, „naturalne warunki”, „bioróżnorodność” czy „zrównoważone wykorzystanie”.



Fińskie Morze Archipelagowe na Bałtyku - z jednej strony wspiera „prawo każdego człowieka do swobodnego biwakowania” z drugiej powszechnie przestrzegana zasada utrzymywania maksymalnego dystansu od innego człowieka, do tego minimum infrastruktury i mamy wrażenie samotnego pobytu w dzikiej przyrodzie w środku europejskiego, nowoczesnego państwa.
Fot. Jan Marcin Węśławski

Dwie szkoły

Przyczyna braku porozumienia leży też w tym, że specjaliści - biolodzy i ekolodzy, którzy tworzą te terminy i dają podwaliny naukowe pod ich interpretację, należą z reguły do jednej z dwóch odmiennych (lecz jednakowo wartościowych) szkół filozoficznych. Jedną z nich to „compositionism” - co w wolnym tłumaczeniu można określić jako „strukturalizm”. To podejście koncentrujące się na istnieniu gatunków i populacji jako zasadniczych produktów ewolucji oraz najważniejszych wartości, które mamy chronić. Dzięki nowemu osiągnięciu ewolucji - kulturze - człowiek w tym systemie stoi ponad światem natury i ma obowiązek chronić go (np. z powodów moralnych czy estetycznych).

Drugą szkołą to „funkcjonalizm” - ten nurt utworzyli ekolodzy pod wpływem klasyka dziedziny, E. O. Oduma. Dla nich gatunek czy organizm to tylko proces termodynamiczny, a wartością przyrody jest funkcja, którą spełnia, np. przetwarzanie energii słonecznej na tkankę roślinną. Dla funkcjonalistów, człowiek jest po prostu częścią żywego systemu i wpasowuje się w system zależności od innych elementów, więc należy go traktować jak każdy inny gatunek. Ochrona przyrody w tym ujęciu jest ochroną użytecznych funkcji, które ona spełnia - ochroną dla naszego własnego dobra.

Różnice między tymi dwoma szkołami są w praktyce niewielkie, a odróżnia je przede wszystkim zestaw wartości, do których się odwołują. Dla strukturalistów kluczowe pojęcia to „integralność biologiczna” i bioróżnorodność, natomiast dla funkcjonalistów są nimi „zdrowie ekosystemu”, „usługi ekosystemowe”, „zrównoważony rozwój”. Gdy administracja próbuje za pomocą jednego rozporządzenia wprowadzić wszystkie doradzane im środki dla ochrony przyrody, staje wobec logicznych i nierozwiązywalnych dylematów, które skwapliwie wykorzystują bezwzględni technokraci i „deweloperzy”.

Prostym i krajowym przykładem jest chęć ochrony różnorodności biologicznej i zdrowia ekosystemu w tym samym miejscu i za pomocą tego samego przepisu. Tak się składa, że „zdrowy ekosystem”, rozumiany jako ekosystem funkcjonujący naturalnie i sprawnie, nie zagrażający człowiekowi, może być bardzo ubogi pod względem różnorodności biologicznej. Piaszczyste płycizny otwartego wybrzeża Bałtyku zasiedla zaledwie kilka gatunków zwierząt bezkręgowych, ale należą one do najbardziej naturalnych, niezmienionych i zdrowych obszarów naszego morza. Natomiast zagłębieniem

różnorodności biologicznej jest zdewastowana przez człowieka, eutroficzna i zanieczyszczona Zatoka Pucka.

Strukturaliści opowiadają się za ochroną gatunków nie tylko przez tworzenie indywidualnych ostoi (jak małe rezerwy, ogrody zoologiczne czy banki nasion), lecz także dzięki powoływaniu dużych obszarów chronionych – zamkniętych dla człowieka, aby na takich terenach mógł się zachować nietknięty, ewolucyjnie stabilny „naturalny bank” różnorodności biologicznej na wszystkich jej poziomach, od genów do siedlisk. Strukturaliści pilnują również tego, by obszary chronione zawierały tylko naturalny (historyczny) skład gatunkowy – co określa się często jako integralność biologiczną lub ochronę naturalnej różnorodności. Stąd walka z gatunkami obcymi i inwazyjnymi. Tu znów krajowy przykład: Bałtyk w ostatnich 100 latach zyskał ponad 120 nowych gatunków bezkręgowców i ryb, które zadomowiły się w naszym morzu. Dla strukturalistów to problem, bo Bałtyk nie wygląda „naturalnie” – historycznie, więc mnożą inicjatywy dla powstrzymania i zapobiegania imigracji. Dla funkcjonalistów to nie problem – Bałtyk się zmienia, tak jak cały globalny ekosystem, tych zmian nie jesteśmy w stanie zatrzymać, nowe gatunki znajdują sobie nisze ekologiczne i wypełniają ważne funkcje w systemie. Taka np. babka bycza, która miała być uciążliwym chwastem rybnym, zagrażającym wartościowym gatunkom ryb, jest w tej chwili idealnie wpasowana w sieć troficzną. Stanowi główny pokarm kormoranów, które dzięki temu nie zjadają innych ryb, a ona sama zjada omółki – małże niemal nie zjadane przez inne gatunki w naszej strefie.

Klasycznym przykładem nierozwiązanej dysputy o gatunkach obcych jest kwestia koni w Ameryce Północnej. Konie wyginęły wraz z kilkudziesięcioma gatunkami tzw. megafauny plejstoceńskiej, gdy uzbrojony w oszczep człowiek przeszedł z Syberii przez pomost cieśniny Beringa około 14 tys. lat p.n.e. Po kilkunastu tysiącach lat nieobecności koń został sprowadzony ponownie do Ameryki przez Hiszpanów około 1500 r. Czy to gatunek obcy dla kontynentu? Czy też była to zakończona sukcesem próba odtworzenia wytępionego gatunku? Wszystko zależy od tego, jaką skalę czasową uznamy za punkt odniesienia i czy skupimy się na fakcie istnienia konkretnego gatunku w danym miejscu, czy na funkcji, jaką spełnia on w ekosystemie. Analogiczną operację przeprowadzono kilka lat temu w Polsce, gdy sprowadzono z Kanady kilkadziesiąt tysięcy sztuk narybku jesiotra ostronosego, który wyginął na Bałtyku około 1970 r. Badania genetyczne i historyczne przekazy wskazują na to, że był to gatunek obcy, typowy dla Północnej Ameryki. Czy odtworzyliśmy rodzimy skład gatunkowy, czy powtórzyliśmy inwazję obcego?

Pojęcie „zdrowia ekosystemu” jest kluczowe dla funkcjonalistów i podobnie jak w przypadku zdrowia człowieka łatwiej określić je jako brak choroby, niż podać definicję pozytywną. Zwykle wymienia się jako objaw zdrowia zachowanie funkcji i procesów ekosystemu, które spełniane są przez naturalny dla danego obszaru zestaw gatunków. Zdrowy ekosystem nie podlega raptownym zmianom oraz posiada zdolność łagodzenia stresu, np. przybycia nowych gatunków, powodzi, pożarów itp. Zdrowy ekosystem ma dla nas znaczenie dlatego, że zapewnia darmowe usługi, takie choćby jak zapylenie drzew owocowych przez owady błonkoskrzydłe, albo pochłanianie dwutlenku węgla przez lasy. Nowym przykładem funkcjonalizmu jest diskutowany na łamach „Nature” w tym roku pomysł wprowadzenia wielkich roślinożerców (w tym słoni) do Australii, żeby wypełnić lukę powstałą po wytępieniu rodzimej megafauny i zapewnić naturalne zjadanie traw, których nadmierny rozrost sprzyja pożarom, powodującym ogromne straty ekonomiczne.

W przypadku oceny usług ekosystemowych stajemy wobec konieczności odwołania się do użyteczności dla człowieka – jesteśmy częścią tego ekosystemu i oczekujemy, że możemy wykorzystywać jego funkcje tak, jak robi to każdy inny gatunek. Niektóre z tych funkcji są łatwe do nazwania i oceny, inne trudniejsze, ale pewnie nikt nie potrafi wskazać funkcji ekosystemowej całkowicie obojętnej dla człowieka. Wiemy już, że to jeden skomplikowany i powiązany z sobą układ, więc zniszczenie czy usunięcie jednego elementu będzie wpływać na inne. Takie podejście do ochrony przyrody odnosi się niechętnie do idei odsuwania od niej człowieka – np. poprzez tworzenie

ściśle zamkniętych obszarów, gdzie przyroda powinna sama utrzymywać swoją naturalność.



Spitsbergen - reklamowany przez Norwegów jako „najlepiej na świecie zarządzany obszar dzięki Przyrodzie” - mimo 100 tysięcy turystów rocznie, na obszarze wielkości Polski nie odczuwa się tłoku, a teren podzielony jest na kontrolowane strefy z kolejnymi utrudnieniami dostępu. Na zdjęciu powszechnie dostępny obszar Isfjorden - obóz w ujściu lodowcowej rzeki. Fot. Jan Marcin Węsławski

Kompromis?

Jeden z proponowanych kompromisów to stosowanie podejścia „strukturalistycznego” do szczególnie cennych obszarów, mało zmienionych przez człowieka - takich jak niezniszczone przyrodniczo wyspy, odległe rafy koralowe czy naturalne lasy. Natomiast tam, gdzie mleko się rozlało, nie ma po co próbować przywracać naturalnego, pierwotnego porządku. Trzeba natomiast doprowadzić przyrodę do stanu używalności i zdrowia przez zadbanie o usunięcie zanieczyszczeń i przywrócenie pożądanych funkcji. Tu właśnie sprawdza się podejście „dobrego ogrodnika”, który zna swój ogród i wie, czego może od niego oczekiwać i jakiej pracy to wymaga.

Europa nie pozostawia nam wielkiego wyboru pod tym względem. Obszary, które można uznać za „dzikie”, to góry w Skandynawii, trochę terenów europejskiej Arktyki i fragmenty niezniszczonego przez trały rybackie dna Morza Norweskiego i Grenlandzkiego. Reszta to już praktycznie ogród. Jasne, że trzeba chronić przed „zagospodarowaniem” smętne resztki Puszczy Białowieskiej i podobne perełki - ale nie oszukujmy się: to są parki i zwierzyńce w globalnej wiosce, które wymagają ciągłej opieki i kontroli.

Spółeczna akceptacja dla ochrony przyrody wiąże się w dużym stopniu z tym ogrodniczym porównaniem. Niemal każdy lubi przebywać w czystym, zdrowym i zielonym otoczeniu, i mniej istotne jest, czy ten ogródek przypomina oryginalny las dębowy, czy górską łąkę sprzed czasów industrialnych. Akceptacja społeczna łączy się z możliwością skorzystania z tego wspólnego dobra. Jeżeli wiem, że mogę iść jesienią na grzyby, a latem kąpać się w rzece i łowić w niej ryby, nie będę protestował przeciwko ograniczeniom - zakazowi śmiecenia, kupowaniu licencji wędkarskich czy konieczności chodzenia po wyznaczonych ścieżkach. W idealnym świecie każdy z nas poczuje się ogrodnikiem i będzie się starał utrzymać ogród w porządku.

Demokratyczny dostęp do dóbr przyrody skończył się ze wzrostem ludzkiej populacji. Jest nas o wiele za dużo, żeby każdy mógł zbierać perłopławy, orchidee czy oglądać gniazdo bielika. Korzystanie z dóbr przyrody w ostatnich dzikich i szczególnie cennych miejscach musi być ograniczone. Do położonego na wschodnim krańcu archipelagu Svalbard rezerwatu Kong Karls Land (o powierzchni województwa pomorskiego) nie wolno wchodzić nawet naukowcom, bo ma tam swoje tereny lęgowe niemal połowa europejskiej populacji niedźwiedzi polarnych. Buntowali się przeciw temu zakazowi organizatorzy rejsów turystycznych do Arktyki, argumentując, że przyrodę chroni się po to, by

pokazywać ją człowiekowi – jaki więc sens chowania jej w zamknięciu i jednocześnie oczekiwania, że obywatel będzie płacił za cuda w worku? Co charakterystyczne dla nowoczesnego zarządzania, zgodę na odwiedzenie tego miejsca dostała już dwukrotnie ekipa filmowa BBC. Ich przekaz, który trafia do milionów ludzi, pokazuje ukryte skarby i lepiej niż wszystkie podręczniki i przepisy mówi o konieczności ochrony tego miejsca.

Można odnieść wrażenie, że powyższe streszczenie dyskusji na temat strategii ochrony przyrody zawiera rozwiązanie problemu. W dzikich miejscach zastosujemy strategię strukturalistów – zamkniemy duży obszar i będziemy chronić naturalny porządek rzeczy. W miejscach pozostałych będziemy ogrodnikami – pilnującymi, żeby było czysto i przyjemnie. Niestety nie pójdzie to tak łatwo. Ogrodnictwo opiera się na pełnej (no, prawie pełnej) kontroli nad ogrodem. Wiemy, ile nasion i cebulek posadziliśmy, co mamy na grządkach, kiedy przyciąć i przepikować rośliny, ile dosypać nawozu i które chwasty wyrzucić. Źródłem niespodzianek są pogoda i nowe choroby, które zwykle daje się opanować. Tymczasem nawet w naszej zmienionej europejskiej przyrodzie nie wiemy, co mamy w inwentarzu.

Zakończony dwa lata temu wielki, 10-letni projekt Census of Marine Life, pokazał, że nigdy w historii nie opisywano tak wielu nowych gatunków jak obecnie, a stan rozpoznania morskiej fauny i flory oceniany jest na 20 do 30%, na lądzie trochę lepiej, ale daleko nam do pełnej znajomości gatunków i ich rozmieszczenia. Oczywiście pamiętajmy, że przyroda to nie tylko ptaki czy płazy, ale przede wszystkim małe, ukrywające się w glebie i morskich osadach mikro- i meioorganizmy, nicienie, wiciowce i tym podobne stworzenia, bardzo ważne dla funkcjonowania ekosystemu. Skoro nie wiemy, co mamy w ogródku, nie znamy funkcji, które pełni większość obecnych gatunków, trudno mówić, że podlewając jedną lilię i zbierając cebulę panujemy nad systemem.

Kilka lat temu polscy i francuscy rybacy próbowali wymusić na swoich rządach i Komisji Europejskiej zmianę ograniczeń połowowych właśnie za pomocą argumentów ogrodniczych. Według ówczesnej debaty, rybacy to morscy rolnicy, oracze morza, którzy najlepiej wiedzą, jak korzystać i chronić zasoby żywe. Nic podobnego – rolnik czy ogrodnik to ktoś, kto ma kontrolę nad swoją uprawą, tymczasem rybak morski tylko bierze, nie sieje, nie sadi, a jego doświadczenie ogranicza się do gatunku, który eksploatuje.

Niestety podobnie wygląda sprawa z ochroną przyrody. Z perspektywy Londynu czy Hagi, wszystkie zielone obszary wokoło są pod kontrolą i trzeba troskliwie zajmować się nimi, by kolejne pokolenia podziwiała trawniki i żywopłoty. Jednak z perspektywy gór, wschodniej Europy i morza – czyli z miejsc, gdzie dzika przyroda (nawet jeśli zmieniona) jest wciąż bliska swej naturze – nie ma co nawet udawać ogrodnika. Za mało wiemy, żeby poruszać się w takim obszarze z sekatorem i łopatką. Jeżeli komuś wydaje się, że „zarządzając” populacją żubra i pięciu gatunków drzew w lesie, albo foką i dorszem w Bałtyku, można się uważać za dobrego ogrodnika, to warto mu przypomnieć o mikoryzie, poziomie wód gruntowych czy o bakteriach rozkładających materię organiczną. Bez kontroli takich – i setki innych – czynników określających ekosystemy nie zbliżymy się nawet do rzeczywistego decydowania o procesach przyrodniczych.

Po pierwsze nie szkodzić

Jak widać, bardzo trudno pełnić rolę zarządcy i opiekuna przyrody, za to niszczenie jej wartości jest dziecinnie proste. Jak wobec tego się zachować, za jaką strategią powinniśmy się opowiedzieć? Jak od dawna twierdzili klasycy, ekologia jest nauką „case studies”, czyli poszczególnych przypadków. Nie ma uniwersalnych rozwiązań i każdy przypadek trzeba rozpatrywać oddzielnie. Tak jak w medycynie, w przyrodzie najważniejsze jest po pierwsze nie szkodzić. Nie musimy utrzymywać kurczowo na swoim miejscu deklarowanej liczby gatunków czy liczebności populacji. *Panta rhei* –

wszystko się zmienia, przepisy o utrzymaniu morskiej linii brzegu Polski wg zdjęć lotniczych z 2000 r. są przykładem niezrozumienia tej klasycznej prawdy. Komisja Helsińska (HELCOM), miarodajne ciało dla zarządzania przyrodą Bałtyku, wydała kilkanaście lat temu rekomendację „o zachowaniu naturalnych procesów brzegowych”, która mówi, że tam, gdzie erozja nie niszczy szczególnych wartości gospodarczo-kulturowych, należy pozostawić naturę jej biegowi.

Chorobliwa chęć kontroli wszystkiego i zarządzania przyrodą prowadzi do budowy infrastruktury (dróg, linii przesyłowych, zabudowań) tam, gdzie nie jest ona potrzebna. Ale żeby coś kontrolować, trzeba tam dojechać, postawić strażnika, móc wywozić zbędne i wwozić pożądane elementy ekosystemu. Gdy już się zbuduje infrastrukturę dla zarządzania, to najlepiej zabronić wchodzić na taki teren obserwatorom ptaków czy grzybiarzom, natomiast traktor ściągający martwe drzewa z lasu czy pogłębiarka przy morskim brzegu - to tylko widoczne objawy naszej gospodarności i porządkowania środowiska. A skoro już jest infrastruktura, to są też miejsca pracy i rozwój, a wtedy łatwo ogród zmienić w pole uprawne. Tego procesu chyba obawiam się najbardziej - że od kuszącej wizji dobrego ogrodnika, przechadzającego się po pięknym, zróżnicowanym zielonym parku, zbyt łatwo przejść do plantatora, który równo orze cały teren i sadi kolejne odmiany roślin według wymagań rynku - w końcu pole też jest zielone, więc o co chodzi?

Prof. Jan Marcin Węsławski